NUMER 15. DNIA 12-go KWIETNIA 1903 ROKU ROK XI

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA.

A. LANGE.

Rozmyślania.

I.

Za wiele jest na ziemi nienawiści
I zbyt ogromna rozczarowań rzeka —
Im dalej idziesz, tem ci płonie mgliściej
Światło edeńskie, które tam zdaleka
Na umęczone twoje nogi czeka.

Słyszycie poszum spadających liści?
Jesień ordzawia marzenia człowieka...
Zórz nam za wiele wróżyli psalmiści —
Za wiele!

Krwią nienawiści pierś nam wciąż ocieka.
Kiedyż zestąpią owi promieniści,
Których istotę miłość przyobleka.
Za wieleż czasów, gdy się świat oczyści,
Królestwo Boże tu się na nim ziści —
Za wiele?

II.

Ze wszystkich rzeczy, które są w naturze,
Śmierć mię dziś jedna swym urokiem nęci:
Bo ma uśmiechów najpiękniejsze róże,
Szelest najcichszy w swoich skrzydeł piórze —
Jak kołysanka wiecznej niepamięci.

Śmierć jest to podróż nad wszystkie podróże,
Co nam ukwieci byt i rozdjamenci,
Gdzie życia czarne toczą się kałuże
Ze wszystkich rzeczy.

Życie to chaos. Rwiemy się ku górze,
Lecz duch się wiecznie na nizinach smęci
I błądzim niby na krzyżach rozpięci!
O śmierci, gdy się w łonie twem zanurzę,
Ty ład mi wlejesz w przeźroczyste kruże
Ze wszystkich rzeczy.

III.

Chaosem ciemnym bez rozumnej osi
Zda ci się twoja na ziemi robota.
Moc tajemnicza w dale cię unosi,
Cel tajemniczy we mgle ci migota.

Nowy codziennie grom przypadku wali
W mózg twój i serce, w nogi twe i ręce;
Wiesz li na jakiej staniesz jutro fali
I z jakich cierni wić będziesz swe wieńce.

I wiesz-li, jaka twej męki istota?
Jaki pożytek z twego płaczu będzie?
I w co przepalą iskry losu młota
Nietrwałe dni twych narzędzie?

Znużony padasz codziennie wieczorem
Wołając w próżnię: czemu? dokąd? poco?
Za jakiemś słońcem, które jest pozorem
Dni twe niepewne — jako ćmy — łopocą?

Psychologja zabobonu

(Z ODCZYTU P. JANA KARŁOWICZA WYGŁOSZONEGO DNIA 4. bm. W TOW. LUDOZNAWCZEM).

Znakomity lingwista i etnograf, p. Jan Karłowicz, bawiąc chwilowo we Lwowie, wystąpił na sobotniem posiedzeniu Towarzystwa ludoznawczego z odczytem, w którym na podstawie własnych obserwacji podał kilka ciekawych sposobów tłumaczenia zabobonów ludu naszego. Niektóre z tych zabobonów są proste i jasne i nie potrzebują żadnych komentarzy, inne znowu mają taki zakrój, jakby w nich przekazano środki hygieniczne i t. p. coś jak ablucje Koranu lub żydowskie. W większości zabobonów jednak trudno zrozumieć, jaki związek zachodzi między czynem a celem, który ten czyn ma sprowadzić. Otóż prelegent na podstawie własnych badań doszedł do przekonania, że te zabobony pochodzą z bardzo odległej epoki i nie inaczej się dadzą wytłumaczyć, jak psychologją człowieka pierwotnego.

Dusza człowieka pierwotnego operowała wprawdzie co do jakości tak samo, jak dusza człowieka dzisiejszego, ale natomiast co do ilości faktów obserwowanych, na których się opierało wnioskowanie, stała znacznie w tyle. Dręczące pytania o początku i końcu wszechrzeczy rozwiązywał człowiek pierwotny krewko, jednem cięciem, uosabiał je, albo tłumaczył mechanicznie. I właśnie zabobony pochodzą z takiego nienaukowego rozumowania i nieścisłej obserwacji. Dość było powierzchownego podobieństwa, aby dwie rzeczy zupełnie różne utożsamić, dość naprzykład, że drzewo olchowe jest czerwonawe, a krew ludzka czerwona, aby sobie wyobrazić, że w drzewie tem zaklęty człowiek siedzi.

Takie rozumowanie wydaje się nam dzisiaj dziecinnem, i jedynie poeci potrafią przemawiać tym pierwotnym językiem, chociaż czynią to świadomie, podczas gdy człowiek pierwotny wierzył w to, że księżyc przemawia i t. d.

Omawiał w dalszym ciągu prelegent zabobony, w których człowiek pierwotny łudzi się zewnętrznem podobieństwem dwu rzeczy i na tej podstawie je utożsamia. Naprzykład: igła jest ostra — w kłótni padają ostre wyrazy. Chcąc tedy pokłócić ze sobą młode małżeństwo, trzeba według zabobonu wetknąć igłę do wspólnego ich łoża. — Siejesz pszenicę, to w worku, z którego siejba się odbywa, nie powinno być śladów mąki, gdyż inaczej na pszenicy osiądzie śniedź. Zagadka zabobonu łatwa w tym wypadku do rozwiązania, gdy się zważy, że śniedź jest podobna zewnętrznie do mąki. Ideałem gospodarza jest, aby len i konopie wyrosły wysoko — las jest także wysoki — siejąc tedy len lub konopie, odwróć się i patrz na las, powiada zabobon. Włosów ostrzyżonych nie należy wyrzucać na dwór, bo ptactwo je zbierze do budowy gniazda, a wtedy na twojej głowie wyrośnie... kołtun. Zagadka polega na tem, że gniazda niektórych ptaków, ze zbitego włosienia podobne są trochę do kołtunu.

Dwa następujące przykłady zabobonu dadzą się także wytłumaczyć psychologją człowieka pierwotnego. Chcąc naprzykład w czasie suszy sprowadzić deszcz, trzeba babę lub dziewkę pławić we wodzie, albo z miski makiem napełnionej sypać ziarnka maku do studni. Drugi zabobon, praktykowany przez znachorów dla uleczenia dziecka z robaków (glist), polega na wykonywaniu pewnych ruchów, podobnych do urywania głowy. Otóż wykonuje się tu pewne czynności mimiczne. Pochodzi to stąd, że język człowieka pierwotnego niewyrobiony i niewprawny, wymaga koniecznie uzupełnienia w formie mimiki i gestów. Gestami więc i mimiką tłumaczy człowiek pierwotny w powyższych wypadkach siłom niewidzialnym i potęgom to, co one dla dobra jego mają zrobić.

Wracając do zewnętrznego podobieństwa, stwierdził w dalszym ciągu prelegent, że i podobieństwo barw łudziło niekiedy człowieka pierwotnego. Ztąd pochodzą zabobony takie naprzykład, że gdy mgła na nowy rok panuje, to cały rok będzie mleczny. Dziecku choremu na żółtaczkę należy kazać się wpatrywać w jakiś przedmiot żółty. Na tej samej podstawie polegają i dalsze zabobony, jak np. spotkanie kogoś z pełnemi wiadrami (powodzenie), dziecku małemu nie można dawać ryby do jedzenia, gdyż będzie nieme.

Czasami zabobon polega na wspólności ruchu: Jeżeli kret ryje od domu, to z domu ktoś wyjdzie (dziewczyna za mąż), jeżeli zaś ryje w kierunku do domu, to ktoś przyjdzie. Skoro dziewczyna zobaczy poraz pierwszy bociana lecącego, to i ona wyleci (pójdzie za mąż), jeżeli chodzącego, to i koło niej chodzić będą (ale bez skutku), jeżeli by wreszcie bocian siedział, to i ona siedzieć będzie i w tym roku już zamąż nie pójdzie.

Czasem podobne brzmienie wyrazu jest przyczyną zabobonu. Nie siać w suchedni, bo susza będzie, nie dotykać padalca, bo ciało opadnie. Inne zabobony wywodzą swój początek od starych ofiar i kultów: jeżeli w domu coś straszy, należy uciąć głowę czarnej kurze, — niektóre jeziora na Litwie i Mazowszu wymagają corocznej ofiary w kurach lub kogutach, gdyż inaczej „samo jezioro zabierze człowieka". Wszystko, co dotyczy nieboszczyka, jest złe. Nie robić kolebki z tych samych desek, z których zrobiono trumnę; jeżeli wybuchnie zaraza, należy wyjąć ze stawu stawidła i zakopać je na cmentarzu; na febrę myć się należy rosą z trawy mogilnej; chorego na chorobę św. Walentego należy zmierzyć i miarę jego schować do trumny, w której będzie pochowany nieboszczyk. Jeżeli klacz wprzęgnięto do wozu z nieboszczykiem, to nigdy ona nie będzie miała już źrebiąt; złodzieje chcąc, aby ich nikt w domu nie słyszał, zapalają świecę, zrobioną z tłuszczu nieboszczyka i t. d.

Niektóre jednak zabobony są bardziej skomplikowane, tak, że czasami wyrozumieć ich w żaden sposób nie można: I tak naprzykład jeżeli kura przestąpi żołądź, to będzie niosła małe jaja, sens dotąd zupełnie zrozumiały, bo i żołądź jest mała — ale dlaczego należy małe jaja, zniesione przez kurę, która przestąpiła żołądź, przerzucać przez dach, aby dalsze jaja już były większe — niewiadomo.

Ciekawego odczytu p. Jana Karłowicza wysłuchała publiczność z wielkiem zainteresowaniem.

W dyskusji zabierał głos p. Grzegorzewski, stając na zasadniczo przeciwnem stanowisku.

WŁADYSŁAW ORKAN.

POMÓR.

POWIEŚĆ.

(4) (Prawo przekładu zastrzeżone.)

Tekla popatrzyła za nią wzrokiem, w którym przez udane zagniewanie przebijała się tkliwość serdeczna.

— No i cóż ja z tobą pocznę?

— Najlepiej wypędźcie z chałupy i bedzie.

— Musiałabych takie sumienie mieć, jak Danajka.

Obie się uśmiechnęły.

— U nich tam ciągła niezgoda — rzekła, smutniejąc pomału, Salka.

— Dyć się Jantaszek wyskarżyć nie może. I na Tomka się dość żali...

— Cóż Tomek winien, że taką ma matkę! On sam staje po stronie ojczyma...

Wszedł Łukasz. Przerwały rozmowę, bo z twarzy jego zobaczyły, że go coś niemało zgryzło. Usiadł ciężko na ławie i zgnębionym głosem począł:

— Haw na okole pustki... Słomy niema jeno na naręcze. Tych parę brzemion barłogu, jakby się nazmiatało... Nie wiem, czem się ta krowa dożywi do wiesny. Dość, że jedna jeno jest, bo resztę te roki zjadły, to i tę ostatnią trza bedzie wywieść z obory. No, ale sprzedać — któż kupi? A zresztą, cóż z tych pieniędzy, choćby się za nią dostało? Dyć są pieniądze w skrzyni... Zabić znowu — cóż zabić? Tych gnatów trochę, skórą obleczonych? Tak źle — i tak niedobrze. Ta

kapka mleka koniecznie potrzebna, to jedyne zbawienie dzieci. A tu na okole pustki... I wiesna się nijaka nie robi...

Pochylił się, turbacją ciężką przygnieciony, i oczy utkwił w ziemię w tępem zapatrzeniu. A obie niewiasty młode nie śmiały oddychać głośno, by mu nie przybaczyć swoją obecnością jakiegoś nowego strapienia i nie wywołać przez to nowej trwogi. Ocknął się jednak sam i, zwracając oczy, cierpieniem gorzkie, w stronę żony, podniósł głos:

— Powiadałech, że trza ziemniaki ochraniać. Przydałyby się, jak mleka nie będzie...

— Nie było co ochraniać — szepnęła Tekla.

— Ale wy — ciągnął, nie zważając na jej słowa — na jutro nie patrzycie. Co jest, to zgotować odrazu, a potem niech będzie, co chce — taki wasz rozum. Potrzebno i teraz okrawki psuć, kiedy mąką by się jeszcze odegnało?

— Ty sam... — poczęła Tekla, ale nie mogła dokończyć, taka ją żałość po sercu obiegła.

On jednak wiedział, co chciała powiedzieć, i wiedział, że miała słuszność. On rzeczywiście sam namawiał, aby choć na smak okrawków zwarzyła, bo się mu zecnąć na owsianem chciało. To też, chcąc niesprawiedliwość swoją pokryć, abo choć złagodzić, dużo wyrozumialej już kończył:

— Bez ziemniaka się cnie, prawda, bo się człek przez długie lata wezwyczaił. To jedyny dar boży, co się nie przyje, choćbyś go i najczęściej pożywał. Nie dziwota, że w tych rokach, kiedy Bóg poskąpił, ludzie za ziemniakami strasznie upałują. Chwała Bogu, że my tę szczyptę ugrzebli, bo mogli my nic nie ukopać, jak wielu. I choć na smak, to było. Ale teraz trza mocno o tem dumać, żeby co wsadzić. Okrawków, widzę, niedużo ostało — jak się i te zje, cóż bedzie? A może nadejść jeszcze gorszy czas.

— Boże, uchowajże też! — szepnęły obie niewiasty, podnosząc oczy ku górze.

— Powiadają, że się niema czego dobrego spodziewać. Dyć już trzeci rok — miała czas bieda na kość uschnąć, abo się zabrać kany we świat, a ona się nie usuwa, ani nie myśli nijak miertwieć, ale się panoszy wokół, jak to złe ziele, któremu odetnij korzeń, to mu trzy odrosną. Wszystko ku czemuś strasznemu idzie... Ja już nie wiem, czy ludzie tacy źli, czy Bóg taki nielitościwy...

— Nie gadaj-że też tak...

— Rozum się w głowie przewraca, kiedy człek o tem pomyśli. A tu jak nie myśleć? Powiedz... Wszystko się naraz gromadzi i robi taki ścisk, że nie sposób znaleźć furtki, którąby dusza mogła uciec w jaki kąt cichy, choć na niedużą chwilę. Żeby to człowiek sam był, to już jakby padło, tak by się musiało przyjąć. I śm'erć samemu nie okrutna. Ale w takiem owikłaniu...

Tekla poczęła cicho płakać. I Salka widząc jej łzy, po licach spadające na głowę dziecka, śpiącego na podołku, również nie mogła łez w oczach zatrzymać. A Łukasz mało i uważał na nie, mówił jakoby do siebie, a raczej jakby z kimś nieobecnym gwarzył i za niego odpowiadał sobie:

— To już teraz tak ciężko, że się widzi: nijako nie może być ciężej, a jak też przyjdzie czas gorszy? Cóż wtedy człowiek powie o dzisiejszym? Cóż się dziś mówi o roku łońskim, albo i zaprzeszłym? I wtedy ludzie wyzierali końca jakiego, a nie nadszedł... Nędza nie ma dna ani skończenia.

I jakby sam myślą począł osuwać się gdzieś w przepaść, jakby już nad czeluścią stanął, wzdrygnął się i szepnął z trwogą:

— Co to będzie?... Jezusie, ratuj!...

Niewiasty łzy otarły, patrzyły teraz suchemi oczyma przed się, jakby i one tę otchłań widziały, o której nikto wyraźnie nie mówił, a wszystkim się zdawało przecie, że ktoś mówił.

I wszystkich trwoga ogarnęła. Siedzieli bez poruszeń, w bezradnem zastanowieniu. Dzieci nawet, widząc trwożący ich dusze wyraz w twarzy rodziców, pomilkły i stały w cichości wielkiej, bojąc się ruszyć; oczy im tylko chodziły dokoła, pełne nieśmiałych pytań.

Po izbie przeszło widmo czarne — i na dusze od niego padł cień. Pociemniał świat ich oczom, jak przy zaćmieniu słońca, gdy serca ludzkie lęk przeraża, czy to już koniec świata się przybliża... I tak się ta rodzina grążyła w strapienie czarne, jak pogrąża się w noc ciemną skupiona gromadka drzew na pustem polu. Widziało się: czuwają, bo oczy wszystkie otwarte, a sen ich jakiś ciężki tak na jawie przysiadł.

Było zajrzeć do tej izby przed trzema rokami... Wesołość grzała się w słońcu na środku podłogi, beztroska patrzyła zewsząd uśmiechniętemi oczami, a bogactwo, nie chowane, rozpierało

się po kątach. Łukasz Jamróz miał podostatkiem wszystkiego. W oborze sporo żywizny, naokole potrawy po banty, w sąsiekach zboża okopiska, a w skrzyni złote „cwancygiery“ nieruszane od czasu, jak je tam nieboszczykowie ojcowie schowali. I wszystko mu się poddarzało. Żonę wziął do swojej woli, i chociaż mu ta wiana dużego nie przyniosła, to zaś umiała swoją zapobiegliwością przysporzyć dobra chałupnego. Niemałą też pomocą i wesołością w domu była mu Salka, rodziców jego wychowanka, którą przywykł był uważać za siostrę swoją rodzoną, i ona też go bratem nazywała. Wszystko troje mieli co robić na tem gospodarstwie, bo gruntu było dużo. Łukasz bowiem dzierżył z ojców pół Jamrozowej zagrody; sąsiedzi jego osiedlowi, Gabryś i Jantaszek mieli drugie pół — po czwarciźnie; ich bieda mogła napastować. Nieraz dało się usłyszeć, jak, uskarżywszy się pomiędzy sobą, gdy gwara zeszła na sąsiada, powiada jeden do drugiego: — „Cóż Łukaszowi? Jego się bieda nie tknie. Nie ma śmiałości przystąpić z żadnej żywej strony“. — „Ba! skądby śmiała? Grunt odpowiedzialny, statku Pan Bóg mu nagradza; przytem chłop młody, da se radę, babę se też upatrzył do swojej upodoby...“ — „Dyć już o lepszą trudno, moiściewy, taka już chłopu majątku nie ujmie“. — „Jednemu Bóg nagodzi...“ — wzdycha ciężkawo Jantaszek, myśląc pocichu o swojej Danajce. I tak mu ludzie zazdrościli. Bo oczywistnie było widno, że mu niczego nie brak było, jeno chyba dzieci sporo, któreby miały co trwonić. A i dzieci Bóg przysporzył właśnie na złe roki...

I teraz oto ta rodzina, jak rodzina sarn wśród zaspów śnieżnych, w tej izbie białej trwogą zaskoczona. „Uda-li się z pod śniegu dobyć pożywienie?“ — Albo: „Uda-li się wykopać na jaką przestrzeń widniejszą?“ Tak pewnie myśli rogacz, śmiertelną obawą o życie swoich miotany. Tak przedumuje i Łukasz na ławie, szukając w rozumie swoim sposobów ostatnich. I nijak ich nie może znaleźć. A niewiasty, doznaku jak owe siutki lękliwe: to pozierają z otuchą na niego, czy nie dojrzą w jego oczach jakiego ratunku, to znowu spuszczają głowy i patrzą przed się oczami nieruchomemi, pełne gotowej ofiarności w sercach i bezradnego smutku.

Dzieciom się wnet ucnęło to ciężkie milczenie, nie mogły nijak cicho długo wybyć, poczęły z początku szeptać między sobą, a potem podnosić głosy przy rozgwarze.

— Wnet bedzie obiad...

— Ale! wnet! Dopiero śródpołuń...

— Słonko już przy nalepie. Jak dojdzie do skrzyni, to bedzie połednie...

— A zaś nie! Jak dojdzie do łóżka, to dopiero wtedy bedzie połednie...

— No, to sie załóżmy!

— No, załóżmy sie... O co?

Długie dumanie.

— Widzisz, nie masz się o co założyć...

— A ty też nie masz.

Do rozmowy Walka i Anielki wmieszał się najstarszy Józek.

— Cóż z tego, że bedzie połednie, skoro mama nie będą obiadu gotować...

— Juści! Ty wiesz, że nie będą! Myślisz, że ci kto uwierzy? Jakżeby my wybyli do wieczora?

— A nie wiecie, jak wczora tata powiedzieli, że trza obiadu nie gotować... (C. d. n.)

WALERJA MARRENÉ MORZKOWSKA.

GENERAŁ MALLETSKI

(ZE WSPOMNIEŃ RODZINNYCH). (2)

Mieszkaliśmy na wsi, w powiecie opoczyńskim, w majątku Zbożenna. Należał on niegdyś do pierwszej żony mego ojca, zmarłej bezdzietnie, odkupił go po jej śmierci. Ojciec mój był znakomitym inżynierem, człowiekiem bardzo uczonym, ale na gospodarstwie nie znał się ani trochę, a matka moja, wychowana wykwintnie, wysoko wykształcona, znała się na niem jeszcze

mniej, jeżeli to było możliwe. Interesami więc, rolnictwem i wszystkiem wogóle, co się tyczyło praktycznej strony życia, zajmował się rządca, tytułowany podówczas komisarzem. Stąd wypływała dla niego ciągła konieczność porozumiewania się z właścicielem.

Francuzczyzna, jakkolwiek rozpowszechniona, nie należała zwykle do atrybutów komisarza, i komisarz zbożeński jej nie posiadał. Ale, że potrzeba jest matką wynalazków, nauczył się jej trochę, ażeby módz się z moim ojcem rozmówić, i uprościł o tyle, iż, odrzucając wszelkie gramatyczne subtelności, wyrażał się zawsze w trybie bezokolicznym, jak to czynią murzyni. Słysząc to nieraz, śmiałam się bardzo, ponieważ jednak ojciec mój komisarza rozumiał, był zadowolony i lubił go niezmiernie.

Ile razy jednak komisarz przychodził z jakim interesem, mój ojciec wpadał w zły humor, bo, choć miłą mu była osoba, interesów nienawidził. Chmurzył się więc nieraz, wydobywał cały arsenał polszczyzny, jaki posiadał i pytał: „Pretensja?“ Każdy interes ojciec „pretensją“ nazywał: „Generał nie lubi pretensja. Generał lubi równo“.

Owe „równo“, w języku mego ojca określało porządek, ład, beztroskę, znaczyło, iż wszystko jest tak, jak być powinno, idzie wzorowo, jak dobrze uregulowana maszyna. Miał przytem ruch rąk, jakby gładzący przed sobą wszystko, który malowniczo dopełniał wyrażenia.

Ileż razy później, wśród kłopotów życiowych, przypominałam sobie owe ojcowskie „równo“, i tak, jak on, wzdychałam do niego daremnie. Nie wiem, czy ojciec, przyzwyczajony do wojskowego porządku, domyślał się, że poza nim owe „równo“ jest rzeczą najtrudniejszą do otrzymania pod słońcem, że świat cały, a w nim zarówno rządzący, jak rządzeni, pragną go i nie mogą otrzymać?

Chociaż mój ojciec oświadczał z góry, że „pretensji“ nie lubił, był dla wszystkich względnym i łaskawym w całem tego słowa znaczeniu, a prośbie wprost oprzeć się nie umiał, bez względu na jej słuszność, lub niesłuszność. Komisarz nieustannie nad tem biadał i czynił przedstawienia. Ojciec słuchał, śmiał się, kiwał głową i robił swoje. Nie mam pojęcia, jak tam było z karnością wojskową, ale to pewna, że służba nie lękała się go wcale, a kochała bardzo. Musiał też wzbudzać w swoich podwładnych szczerą miłość, bo twierdził zawsze, iż w strasznym odwrocie z kampanji dwunastego roku, życie zawdzięczał jedynie swemu ordynansowi, który, w chwilach najokropniejszego głodu i nędzy, umiał zawsze wystarać mu się o pożywienie i furmanki. A opowiadając to, dodawał dobrodusznie: „Nie wiem, jak on to robił i, co prawda, nie pytałem go nigdy o to“. Zapewne więc sposoby, których poczciwy ordynans używał, były nielegalne i ojciec się tego domyślał.

Nie znałam nigdy człowieka tak małych potrzeb, jak mój ojciec. Byle miał tytoń, ogień na kominku, bez którego żyć nie mógł, pamiętając zapewne słońce Prowancji, i południowe potrawy, które kazał pod swojem okiem przyrządzać, był zupełnie zadowolony.

Zachował do śmierci obyczaje żołnierskie. Zimą i latem wstawał o piątej, pił zaraz czarną kawę i zabierał się do roboty. Pisał dzieła o fortyfikacjach, budowie mostów i t. p., które, jak słyszałam, w swoim czasie miały wielką wartość.

Matka moja, przywykła do zwyczajów światowych, wstawała i kładła się bardzo późno. Ojciec był cierpliwy do godziny dziewiątej, ale wtedy zaczynał chodzić około drzwi sypialni, nasłuchując niecierpliwie, a już o wpół do dziesiątej wchodził do niej, wołając niezmiennie, że już dawno po dwunastej. Znaczyło to, że był głodny, i że potrawy, które sobie kazał przyrządzić, były gotowe. Śniadanie ojca składało się głównie z jakiego mięsa i ze wszystkich możliwych i niemożliwych jarzyn, ziół, roślin, które po większej części jadł na surowo z oliwą i z octem.

Potrawy ojca wzbudzały podziw ogólny, który bawił go bardzo; utrzymywał, że jadają je w południowej Francji i Włoszech. Wszystkich niemi częstował i był uszczęśliwiony, jeśli komu smakowały. Jeść je było najlepszym sposobem zyskania sobie jego łaski, ale tego sposobu mało kto się chwytał.

Stół u nas był ogromny, zasiadało do niego zawsze liczne grono, bo zachował się w Zbożennie zwyczaj rezydentów. Ojciec był bardzo gościnny, lubił, żeby w domu było ludno i mówił zawsze z uśmiechem o swoim domu, gdy kto przyjeżdżał: „C'est la maison du bon Dieu“. — Prawda, że i dom był ogromny; nazywano go powszechnie pałacem — i miał obszerne oficyny. Było więc gdzie gości pomieścić.

Co ci rezydenci robili? Dlaczego u nas mieszkali? Nie umiem dzisiaj zdać sobie z tego sprawy. Niekiedy z ojcem chodzili doglądać łowienia ryb w różnych stawach i sadzawkach, w które Zbożenna obfitowała; była to ulubiona rozrywka ojca, tem bardziej, że jako Marsylczyk ryby przenosił nad wszystko.

Po zatem, jedynem zajęciem ojca było pisanie dzieł inżynierskich. Pamiętam dobrze te grube foljały, zapisane drobniutkim maczkiem i różne wykreślone do nich rysunki, które gromadziły się w bibljotecznych szafach. Dzieła tak specjalne, pisane w obcym języku, chociażby nawet najznakomitsze, nie mogły w kraju znaleźć nakładcy; nie wiem, czy ojciec czynił jakie starania zagranicą względem ich wydania. Tymczasem musiały one tracić na wartości przy każdym wynalazku, przy każdem ulepszeniu wojennem, które z gruntu zmieniały dotychczasowe systematy obronne. Nie wiem, co się z tymi rękopisami stało. Dziś należałyby niezawodnie do przedpotopowej archeologji. A przecież ileż czasu i pracy pochłonęły!

Pisanie i rysowanie planów zajmowało ojcu czas i sprawiało, że się nigdy nie nudził. W końcu jednak robota, wykonywana głównie przy sztucznem świetle w zimowe ranki, nadwerężyła mu wzrok. Nie zaniechał jej przecież, tylko przyjął sekretarza, który pisał pod jego dyktandem i czytał mu głośno.

Oto wszystko, co o nim powiedzieć mogę z osobistych wspomnień. Dowodzą one aż nadto, że zdawałam sobie tylko sprawę z jego cech zewnętrznych, a nie rozumiałam wcale duchowej treści. Kochał mnie niezmiernie. Byłam jego dzieckiem jedynem i dzieckiem późnej starości; psuł mnie też okropnie, bo jeśli miałam jakąkolwiek zachciankę, choćby niezasługującą wcale na uwzględnienie, zawsze jej zadość uczynił.

Czasem wymagało to nawet wiele trudu i zachodu, nie powstrzymywało go to jednak wcale, nie powstrzymywały też i perswazje mojej matki, która chowała mnie rozsądnie i systematycznie.

Raz, pamiętam, w jakieś wielkie święto, — a było to w Warszawie, — zechciało mi się nagle jakiejś żółtej sukni, nie wiem, doprawdy, z jakiego powodu, bo suknie wówczas obchodziły mnie bardzo mało. Mój ojciec kazał zaprządz konie i pojechał po nią, a choć sklepy były zamknięte, dotarł do właściciela, u którego matka robiła wszystkie zakupy. Sklep otworzono i ojciec wybrał, co było najdroższego w żółtym kolorze. (C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA I SZTUKI

KSIĄŻKI. *Opinja.* Powieść H. Orlicz Gawlikowskiej. Warszawa. Nakład Jana Fiszera 1903. — Sprzeczność między opinją świata, wyrażającą się w sądach ludzi o ludziach, a faktami, dziejącymi się w życiu nie dawała widocznie autorce niniejszej powieści spokoju i zmusiła ją do powieściowej ilustracji swoich zapatrywań. — Opinja świata jest rzeczą ślepą; w przyczynach i skutkach nieobliczalną, jest to coś, jakby rozumowanie człowieka lekkomyślnego, który sądzi z pozorów i z cech zewnętrznych, a przypadkowych. Wszystko to rzeczy wiadome, tak samo jak nikomu nie jest tajnem, że opinja ludzka podnosi jednostki czasami zupełnie niesłusznie, innych znowu niesprawiedliwie pogrąża, czasem psuje charaktery, a najczęściej sprowadza obniżenie miary duszy ludzkiej i jej polotu. — Powieścią o takiej tendencji jest „Opinja“ p. H. Orlicz-Gawlikowskiej. Tła i tematu do niej dostarczyły obficie stosunki współczesne burżoazyjne i idealne, czasem utopijne kontrasty, — barwa zaś spłynęła obficie z rynsztoków i płciowego wyuzdania. Były by to wszystkie cechy skrajnego naturalizmu, ale naturalizm ten w opowiadaniu p. Gawlikowskiej niekonsekwentny jest, nawet psychologji człowieka, do cna zepsutego, wiernie nie oddaje, w całości zaś raczej obrzydzenie wzbudza, niż jakąkolwiek chęć rozwiązywania w ślady za autorką naprowadzonych problematów. Losy bohaterek powieści, jednej wyuzdanej, drugiej przez kontrast poświęcającej się, nie budzą zbytniego zainteresowania, mimo całej swojej sensacyjności. — Co jedno może tylko zaciekawić, to szczegółowa dokładność autorki w obserwacji rynsztoków. — Książka cała nadaje się chyba do lektury dla mężatek (i tylko dla mężatek), które nie mając co w domu robić... nudzą się. *F. J.*

NOTATKI. *Komisja do badania historji sztuki* w Polsce odbyła dnia 26. z. m. posiedzenie pod przew. prof. Marjana Sokołowskiego. Prof. Jerzy Mycielski streścił dłuższą swą pracę pt. „Inwentarz artystyczny zamku w Wiśniczu z r. 1661“. — Opiera się ona na nieznanym dotąd rękopisie Bibljoteki w Suchej, który mieści w sobie „Regestr rzeczy po Szwedach i ucieczkach pozostałych p. wojewody krakowskiego“. Był to Aleksander Lubomirski, starszy brat marszałka w. kor. Jerzego. — Bogactwo dzieł sztuki, przemysłu artystycznego, sreber i klejnotów, które w wieku XVII. zamek wiśnicki zapełniały, jest zupełnie wyjątkowem. Galerja obrazów obfitowała w dzieła pędzla Rafaela, Dürera, Tycyana, Veronesa, Bassana, Guida Reniego i t. d. Po tej najbogatszej galerji obrazów, jakiej równa w Polsce w tym czasie znaną dotąd nei była, następuje długi spis innych przedmiotów nieocenionej nieraz wartości artystycznej. Cały ten obszerny inwentarz jest nie tylko cennym dokumentem historycznym, ale daje nadto wyobrażenie, jak wyglądał wewnątrz w tym czasie, opustoszały dziś zamek w Wiśniczu.

P. Zubrzycki streścił następnie drugą część swej pracy o zabytkach miasta Krosna, opisując tamtejszy kościół Franciszkanów, z koleji zaś p. Tomkowicz referował o nieznanym dotąd „widoku kościoła i klasztoru na Skałce“. Jestto drzeworyt na karcie tytułowej druku z r. 1672, opisującego dysputę de iure et iustitia, odbywającą się w murach klasztornych na Skałce. Na drzeworycie tym uwzględniono po raz pierwszy świeżo zbudowany klasztor z czterema narożnemi wieżami.

Z TEATRU. *„Święto słońca“*. Na ostatniem przedstawieniu „Święta słońca“ teatr świecił pustkami, co w pewnej mierze temu przypisać można, że recenzenci pism miejscowych publiczność w błąd wprowadzili, zdając tendencyjnie sprawę z treści sztuki Schönherra i odsądzając ją od wszelkiej wartości. Pospieszono z pomocą nawet cenzurze teatralnej i podsuwano jakieś hasła walki na tle religijnem, co jest najwierutniejszem zmyśleniem. W dramacie Schönherra jest istotnie polityczna myśl przewodnia, ale zgoła odmienna a najwyraźniej przedstawia ją scena przy rozpalaniu ogniska na szczycie góry, gdy Jungreithmair rzuca w płomień różne jadowite zioła: tojad, ciemięrzycę, naparstnicę i t. d., wypowiadając wraz z towarzyszami zaklęcia, by zniknęło w ogniu wszelkie licho, które lud trapi, by ustały w kraju łzy i niedola, by przepadły przesądy i ucisk złych ludzi. Święto słońca, przesilenie dnia z nocą, to symbol odwiecznej walki dobrego ze złem, sprawiedliwości z brutalną przemocą, światła z ciemnotą.

Taka walka toczy się także w tyrolskich wioskach, w których zarząd opanowały szajki spekulantów, dążących do zbogacenia się kosztem gminy i przy użyciu najniegodziwszych środków. Ale już podnosi się wśród ugnębionej ludności niezadowolenie, a garstka młodych zagorzalców z miasta idzie od sioła do sioła, zwołuje zgromadzenia ludowe i zachęca lud do oporu przeciw nadużyciom. Każdy z tych młodzieńców przecierpiał już wiele za swe przekonania, które nie znajdują uznania u przedstawicieli rządu i dotychczasowej gospodarki. Wzgardzili karjerą, narażali się na srogie prześladowania, przywódca ich Jungreithmair dwa razy więzienie znosił, mimo to jednak stoją niezachwianie przy zamiarze budzenia świadomości politycznej ludu.

W dzień przesilenia zjawiają się do pewnej wioski, w której rządy i gospodarka kilku nikczemników dała się mieszkańcom dobrze we znaki i chcą urządzić wiec. Za pośrednictwem szewca miejscowego zawiadomili niezadowolonych, że mają się gromadzić tam, gdzie ujrzą pierwszą sobótkę.

Wójt za wszelką cenę chce do wiecu niedopuścić, bo obawia się, by nie wywleczono na jaw licznych jego niegodziwych sprawek. Wielu bowiem ludzi we wsi zgnębił i do nędzy doprowadził, niejednego o śmierć przyprawił a wszystko to czynił dla napchania własnej kiesy i paru swoich przyjaciół, radnych gminy. Obecnie ubogą ludność gminy przywalono nadmiernymi ciężarami z powodu budowy nowego kościoła, którą wymyślił wójt ze swymi spólnikami. Nie chodziło o chwałę Bożą, ale o interes prywatny spólników, radnych, wójt bowiem jest kramarzem a z radnych jeden rzeźnikiem, drugi oberżystą, trzeci handlarzem dewocjonaljami, obiecują sobie więc obfite żniwo, gdy stanie nowy kościół i zwiększy się napływ pielgrzymów. Pleban, jak sam wyznaje, nigdyby o nowym kościele nie zamarzył, wreszcie jednak uległ namowom szajki spekulantów. Aby ułatwić sobie zwózkę drzewa i więcej na przedsiębiorstwie zarobić, radni wbrew ustawie lasowej czynią na stoczysku góry wyrąb w lesie i przez to sprawiają, że śniegi, nie mając już oparcia, staczają się w dół lawiną i niszczą chatę Rofnera a samego gospodarza chaty zasypują i życia pozbawiają.

Teraz, aby nie dopuścić do wiecu, wydaje wójt ukaz, że zabrania w całej gminie tradycyjnych sobótek a gdy młodzi agitatorowie mimo to znaleźli miejsce na schadzkę i na palenie ognia na polance prywatnej Rofnerów, naczelnik gminy wraz z godnymi swymi spólnikami zrazu groźbami materjalnej ruiny chcą wymusić na właścicielu polanki, by gości wyrzucił a wreszcie podjudzają go przeciw bratu, który ukończywszy gimnazjum przybył na wakacje i z agitatorami się połączył. Radny rzeźnik, widząc, że młody Rofner dla ratowania swej chaty przed licytacją gotów jest użyć gwałtu przeciw rodzonemu bratu, podaje mu na miejscu sporu, przy ognisku na polance, maczugę, którą też Rofner brata zabija. Biorą za to do więzienia zabójcę — ale żona pozostaje mu wierną w nieszczęściu, bo wie i głośno to w oczy radnym wypowiada, że nie mąż, lecz ta banda wyzyskiwaczy gminy dopuściła się właściwie morderstwa. Gdy mąż wróci z więzienia, opuszczą te strony, w których rządzi bezkarnie klika niegodziwa i pójdą w świat szukać spokojniejszego do pracy kąta.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego l. 8.